

Stanisław Dąbrowski

Jerzego Kwiatkowskiego zapiski z datą

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4-5 (28-29), 227-237

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

także z racjonalizmem, intelektualizmem, z demaskowaniem wszystkiego co jest absurdem politycznym we współczesnym świecie. Jest to tendencja, którą w skrócie nazwałbym literaturą destrukcji i demaskacji a jednocześnie literackiej autodemaskacji. U nas ten nurt od dawna istniał na płaszczyźnie czysto racjonalistycznej u Słonimskiego, ale ogarniał i Leca, i Mroźka, dochodząc aż do Lema z jego ostatnimi tomami *Doskonałą próżnią* i *Wielkością urojoną (...)*¹⁰.

Zza tej diagnozy wyłania się problem kolejny, o nie mniejszej istotności — problem powolnego „przepoczwarczenia się” owej powszechnej parodii w powszechny patos. Parodia ogarniająca całość przestaje być parodią — zlikwidowane zostają bowiem wszelkie „nieparodystyczne” punkty odniesienia. Praktyka literacka diagnozę tę zdaje się potwierdzać: ironia najnowszej poezji polskiej bliższa jest patosowi niż komizmowi. Być może jesteśmy świadkami krystalizowania się nowych odmian jakości estetycznych, obszerne jednak i zasadne udokumentowanie tej diagnozy to temat osobny.

Jerzy Pilch

Jerzego Kwiatkowskiego zapiski z datą

Omówienie najnowszej książki felietonów J. Kwiatkowskiego¹ jako przykładu walczącej publicystyki krytycznoliterackiej podejmuję z upodobaniem, gdyż — powiem słowami Bachelarda — lubię towarzyszyć strumieniowi w dobrym kierunku. Kwiatkowski towarzysząc kilku już generacjom poetów, stał się świadkiem, kronikarzem i analitykiem stanu i przeobrażeń poezji powojennego trzydziestolecia. A przecież, jeżeli nawet szczęśliwe pokolenia literackie szybko zrywają z tematyką pokoleniową (90), to szczęśliwi krytycy z tematyką tą wiążą się trwale, chociaż w takim związku ich dorobek krytycznoliteracki z wolna się zmarmurza w historię literatury najnowszej. Kwiatkowski spogląda jednak nie tylko na wzgórze pokoleń. Uważnie, ostro i uporczywie przygląda się bieżącemu życiu literackiemu, a reagując na widziane zjawiska, staje się jego ważnym uczestnikiem. Wie, że z reguły wiersze z czasopism wpadają w otchłań milczenia nieraz na całe lata (87) i przeciwstawia się tej regule przez wyróżnianie i omawianie tych właśnie wierszy (gotów jednemu utworowi przypisywać znaczną doniosłość; 54—55), a nawet przez ogłaszanie — na podstawie kilku utworów — pojawienia się nowej indywidualności poetyckiej (47). Podobnie odnotowuje pasjonujący artykuł (178), wnikliwy esej (37) czy — rzecz jasna — czyjś najnowszy tom poezji (32, 53).

¹⁰ „Literatura” 1975 nr 8, s. 9.

¹ J. Kwiatkowski: *Notatki o poezji i krytyce*. Kraków 1975. Do tej książki odsyłać będzie albo niemianowana liczba w nawiasie, albo liczba poprzedzona literą N. Litera R oznacza tegoż autora *Remont Pegazów. Szkice i felietony*. Warszawa 1969.

Kwiatkowski jest krytykiem łączącym estetyczną tolerancję z życzliwą postawą wobec analizowanej poezji. Jego życzliwość nie oznacza łagodności, ani nie wyklucza (dość skwapliwej niekiedy) cierpkości, a przejawia się często w dociekliwości (142—144). Kwiatkowski większy nacisk kładzie w krytyce na funkcję rozumienia niż na funkcję sądzenia (17), ale utrzymuje, iż wynik badania jest pochodną sposobu badania (11), a przecież owym wynikiem jest dla krytyka ocena. Nawet wtedy, kiedy nie została jawnie wyrażona; gdyż tkwi w *sposobie* analitycznego ujęcia. Był Julian Przyboś krytykiem wyjątkowo surowym (29), był Antoni Słonimski do pochwał nieskłonny (87), a Kwiatkowski jest niechętny pochwałom bezkrytycznym: wie, że z czystym sumieniem pochwalić można niewiele (177). Chce być sprawiedliwy, ale poczucia sprawiedliwości nie utożsamia z przekonaniem o własnej nieomyślności (145). Niezrównoważeniu i nieodpowiedzialności naszej krytyki, jej panegiryzmowi i negatywizmowi (145, 212—213) przeciwstawia swoją wolę przywracania właściwych proporcji i swoją niepopularną postawę „krytyka z odważnikiem” (129). Łamie charakterystyczną dla naszych obyczajów zasadę: broń się sam, nikt ci nie pomoże (174), i występuje przeciw krzywdzącym opiniom recenzyjnym: Iwony Smolki o poezjach Świrszczyńskiej i Zadury (125, 213), Zbigniewa Bieńkowskiego o poezji Konopki (130), Juliana Rogozińskiego o pracy tłumacza Apollinaire’a (168). Piętnuje nie tylko niesmaczne uwagi felietonowe Witolda Berezeckiego o zmarłym niedawno prof. Płoszewskim, ale i fakt zamieszczenia takiego felietonu w „Poezji” (140). Nieprzejednany wobec niesumienności, sam się jej wystrzega skrupulatnie: pisząc o Iłakowiczównie, pamięta o rozrzuconych studiach Łopatkówny, o eseju Pieszczachowicza w „Twórczości”, o przedwojennych recenzjach Zawodzińskiego (189); omawiając — niewielką wprawdzie ilościowo — twórczość Julii Hartwig, pamięta o paru jej wierszach wydrukowanych przed wielu laty (150). Jawny w postawie intelektualnej i przekonaniowej (por. 143), należy do nielicznych dzisiaj u nas krytyków, którzy tematyki religijnej w wierszach omawianych autorów ani nie deprecjonują, ani nie przemilczają. W związku z nią właśnie wspomina niejednokrotnie o znaczących dokonaniach artystycznych (np. 79).

Kiedy trzeba, broni i siebie samego (217), ale przede wszystkim broni innych, nie stroniąc od literackiej walki (13). Broni znakomitego pisarza przed barbarzyństwem młodego krytyka (100—101). Broni *Ptaków dla myśli* Urszuli Kozioł przed nonszalanckim felietonem Niecikowskiego, „krytyka dawniej sumiennego” (114). Broni odradzającej się prozy polskiej, występując przeciw anachronicznej krytyce prozatorskiej (112—116). Kwiatkowski nie tylko broni, atakuje także: błędy i wypaczenia artykułu Burka, dyletanctwo i pewność siebie w felietonistyce Czeszki, Zielińskiego i Żukrowskiego (62, 116); praktykę Drozdowskiego, który często krytykuje swych rówieśników-poetów, a o sobie samym pisuje — pochwalnie (56, 148); próżność

i samonarzucanie się przedstawicieli nowej fali poetyckiej, gorliwszych w oczyszczaniu sobie pola z co bardziej uzdolnionych poprzedników niż w pisaniu dobrych wierszy, a zarazem uskarżających się na lada poszturchiwanie (65, 103).

Kwiatkowski — krytyk odważny, w uczciwy sposób niebezpieczny, postanowił jednak być *zarazem* krytykiem złotego środka, pracującym według scholastycznej zasady: „nie tylko..., lecz także...” Stwierdza: „jest prawo i obowiązek (...) mówienia swoim ulubieńcom, że tym razem coś nie wyszło, i wyszukiwania u swoich *bêtes noires* nagłych przypływów genialności... Wymaga tego rzetelność krytyki” (213). Czyli: i nie miłować ciężko, i miłować — nędzna pociecha. Trzeba stwierdzić, że Krzysztof Mętrak jest chyba jedyną z *bêtes noires* Kwiatkowskiego, u której nie dostrzeżono (w ramach omawianej książki) żadnego pozytywu, ale też Kwiatkowski chyba wyolbrzymił mistyfikacyjnie *obie* role: Mętraka i swoją. Może zbyt zaufał krytycznemu prawu do spoglądania „z góry” (16)? A przecież wie, że każdy w każdej rzeczy dostrzega co innego (153); uznaje pożyteczność konfrontacji sądów (58); pojawienie się śmiałka gotów jest witać westchnieniem ulgi (133); a nawet przeżywa potrzebę opinii ważkiej, z jego własną niezgodnej (72); wreszcie: sam wyklucza aluzje do profesjonalnego współzawodnictwa (169). W każdym razie z Kwiatkowskim nie można zawrzeć paktu o nieagresji. On nie zasypia (214). Jego sympatia nie jest ustępliwością (208). Wprawdzie sądzi on, że kolega-krytyk dlatego kole, że go „coś przypiliło” (153), ale sam kole głównie dlatego, że pamięta, iż powinnością i zasługą jest narażanie się na nieuniknione sprzeczki i ataki (133). Nie wymija spraw „wstydlivych i objętych terrorem” (R 272). Walczy też milczeniem (z pewnymi nurtami poezji; 8), okazywaniem zupełnej obcości i ironizowaniem (218). Ale przede wszystkim zdaje sobie sprawę, że w kulturze zdobycie przeciwnika (a zatem: doping) stwarza szanse rozwojowe, indywidualizacyjne i przeciwdziała stagnacyjnej monopolizacji (52).

Chociaż wie, że jego przeciwnikami nie są sami tylko „złośliwi poczcivcy” (184), wygarnia sprawy oczywiste, elementarne i ogólnie znane (12, 54, 103); wskazuje na bałamuctwa (169), anachroniczne i pretensjonalne kurioza (74—75, 207, 211), krytyczną łatwiznę (169), merytoryczne nieporozumienia i nie dopełnione powinności (103, 203), niedbalstwo nazbyt podobne do złej woli i nielojalności (153). Radzi zrezygnować (w antologii Andrzeja Lema) z utrwalania niefortunnych „Kolumbów” (134). Niepokoi się bagatelizującym posłowiem polonisty, który nie dorasta do roli wydawcy wybitnego autora (83). Piętnuje obelżywość zestawiania „mitu” Trzeciej Rzeszy z mitem (?) podziemnej Polski Walczącej (209). Kpi z „grozy” bycia nie cytowanym przez metodologicznych modnisiów literaturoznawczych i z ich metodologicznej dufności (178, 182).

Przyjmuje założenie, że to, co nawet jest pismem wybornym, nie musi być zarazem pismem świętym, i dzięki temu zachowuje dopuszczal-

ność dyskusji (178), zawsze gotów wnieść zgrzyt (bodaj niewielki) do chóru pochwał (212). Także własnych. Jako krytyk życzliwy — każdej generacji pisarskiej chciałby życzyć powodzenia (57), ale w opisie postawy przedstawicieli generacji najmłodszej czuje się zmuszony do podkreślenia złych stron tej postawy, acz przyznaje, że można by wiele pisać i o dobrych (101). Poezja nurtu średniego budzi w nim aprobatę: kulturą, tonem etycznym; ale i zastrzeżenia: ckliwością, brakiem dramatyzmu; np. ładność Skwarnickiego wyraźnie i pociąga Kwiatkowskiego, i jakby nieco nudzi (92—93). Zaraz po pełnej podziwu pochwalie poetyckiego odrodzenia twórczości Hordyńskiego następuje „zrzędlive” ostrzeżenie, iż ten nowy wigor poezji już słabnie, że dążenie do zwięzłości i prozaizacji grzęźnie w błahości, niewybredności i obiegowym komunale tematycznym (30). We wczesnej poezji Julii Hartwig wskazaniu na jej oryginalność i zalety towarzyszy wskazanie na zagrażającą wtedy powierzchowność i (błahą?) ulotność (151). Pochwale nowego tomu Ewy Lipskiej towarzyszy wskazanie (jednak) na jego oczywiste słabości (41, 44), pochwale zaś tomu następnego — charakterystyka minionego kryzysu tej poezji (212). Wysoko oceniając dorobek poetycki Anny Kamieńskiej, wypomni zarazem jej artykułowi i jej eseistyce erudycyjne i argumentacyjne niedostatki, a jej poezji — deklaratywistyczność (zanikającą!) humanizmu i niedowład technicznej sprawności w stosowaniu ironicznych „chwytów poetyckich” (166, 173, 175—176). W Julianie Rogozińskim dostrzeże — adepta kultury dopoduszkowej, tezę edytorsko-translatorską tego znakomitego krytyka i znawcy literatury uzna za szkodliwą i niebezpieczną, a jego żarty za żarty o wątpliwej nieskazitelności (168—171).

Kwiatkowski ogłasza pojawienie się nowego talentu felietonistycznego i bezzwłocznie z tym felietonistą (Sławińskim) wdaje się w żarliwą polemikę (177—181). Powie o Przybosiu i o Bieńkowskim, że są (w różnym wprawdzie stopniu) eseistami, których wartość niekoniecznie polega na słuszności, na zdobywaniu zgody czytelnika (72). Powie o Bieńkowskim, że jest to — przy znakomitych walorach — krytyk kapryśny, niekonsekwentny, łatwo krzywdzący lub przeceniający (129). Pochwalne omówienie *Inskrypcji* Ostromięckiego poprzedza dość negatywna merytorycznie metafora o błędzącej formie, pełniąca funkcję charakterystyki twórczości dotychczasowej tego poety, a potem następuje uwaga, że Ostromięcki podejmuje nurt tematyczny, który — acz ważny — nie powinien opanować całej literatury, jeśli chcemy, by ta literatura rozwijała się normalnie (160, 163). W cennej, ambitnej i odkrywczej (jak sam przyzna wstępnie) pracy naukowej rzetelnego badacza, Mariana Tatary, która ma szansę stać się książką-podręcznikiem, zajmie się (właśnie dlatego) jej mankamentami: zdumiewającą nieznajomością faktów, motywacyjnymi nieporozumieniami, bałamutnymi charakterystykami (202—203). Tak postępuje ze swoimi ulubieńcami (68—69) i z utworami, które ceni

(piętnuje przemądrzałe uwagi w „cennym zresztą” szkicu Adama Czerniawskiego, 126).

Ale bliska mu jest także postawa krytyka współodczuwającego (3), bo pieszczoty domaga się nawet zhora (192), więc — chociaż nie pochwała ani ulg, od których roi się obecnie w krytyce (12), ani sytuacji, w której skromnego epigona wynosi pod niebiosa starszy pisarz, przedstawiciel krytyki miłosiernej (59) — to przecież sam gotów jest w nieudanym poetycko zjawisku widzieć dobrą zapowiedź (107) i sam też o utworze lubianego, bliskiego sobie poety powie, że stanowił wydarzenie w życiu literackim, mimo iż nie osiągnął rangi tej poezji, do której stylizacyjnie i treściowo nawiązywał i mimo iż nie ujął najistotniejszej problematyki (92—93). Nim zacznie krytykować anachroniczny prymitywizm narzędzi krytycznych i nieumiejętności interpretacyjne Drozdowskiego, wspomni z wielkim uznaniem o jego debiucie poetyckim (147).

Będąc zwolennikiem sporów literackich, jest jednak Kwiatkowski bezwzględny przeciwnikiem literackiego pamfletu, polemiki likwidatorskiej, apodyktyzmu, arogancji, agresywności, braku kultury dyskusji, demagogii i tromtadracji. Spotyka się z nimi bardzo często (N 54, 56, 81, 101, 148, 204, 208, 211; R 236, 248). Razi go brutalizm emocjonalny, „poezja karabinowa”, sloganowość, egzaltacja, histeria, nietolerancyjność, zdumiewający nawrót do dawnych (i dodajmy: względnie dawnych) naiwności i złudzeń, do haseł futurystycznych i ekspresjonistycznych — manifestujące się w części poezji fali najnowszej, a zwłaszcza w towarzyszącej tej poezji publicystyce literackiej (np. 63).

Mając świadomość, że napastliwa a nieprzekonująca krytyka szkodzi jedynie napastnikowi (148), że brutalność jest maską intelektualnej bezradności (101), że na brutalność rzeczywistości bynajmniej nie trzeba odpowiadać brutalnością słów (156), Kwiatkowski jednak pamięta także, iż każdą ideę społeczną można uczynić przyczyną i narzędziem przymusu i demagogizowania (124), i dlatego uznaje konieczność dawania energicznego odporu atakom napastliwym i niewybrednym (183), przyjmuje zasadę: lepiej późno niż wcale, lepiej późno niż za późno (62), i smutny objaw społeczny widzi w postawie takiej autonomii wewnętrznej, której odpowiada zewnętrzna bierność: autonomię w tej postawie praktyczną zgodę na zadawany gwałt (124). Demagogii przeciwstawia Ajdukiewiczowską definicję racjonalizmu (209), a zdziczeniu publicystycznych obyczajów, zastępczym i zaciekłym atakom, totalnej negacji i dyskryminacji (N 12, 129, 210, 220—221; R 237, 241, 244, 247, 251—252) przeciwstawia głębokie przeświadczenie starego Peipera, iż kultura jest wartością fundamentalną (82). Wypowiedzi swe adresuje do tych, co mają nieco bodaj krytycyzmu (53), i czyniąc aluzję do *Niejakiego Piórki*, ostrzeża, że łatwo — w najszlachetniejszych intencjach — głowę ukręcić, ale trudniej ją z powrotem przyprawić (64), i że słuszne nawet postulaty fałszywieją: jeśli są przesadzone, albo jeśli włączone

są w fałszywy system postulatów, albo jeśli wynikają z ... niedoinformowania na temat prawdziwych stanów rzeczy (220—221).

Ale i tu są do wytopienia pewne ślady przynajmniej owego „*non solum... sed etiam...*”, owej zasady ambiwalencji i relatywizacji (69, 101). W pewnym pobliżu tej opinii znajduje się sąd własny Kwiatkowskiego, iż indywidualność poetycka Wojaczka dochodziła do głosu (między innymi) poprzez brutalne przełamywanie tabu językowych (197—198). Wreszcie o futuryzmie polskim powie Kwiatkowski, że wprawdzie niekiedy prowadził do rzeczy złych, ale mógł i może prowadzić do rzeczy dobrych (82).

Powracam do dowodzenia intensywności interwencjonistycznego i postulatystycznego udziału Kwiatkowskiego w bieżącym życiu literackim i kulturalnym. Dopominał się o pilne wydanie pamiętnika Peipera (84—85), o książkowe wydanie poezji Prokopa (47) czy wyboru felietonów Spodka (90), o nawrót do zarzuconej zupełnie praktyki wydawania dzieł zebranych wielkich pisarzy (170). Wskazywał na przypadkowość, dorywczość i biurokracizm polityki i praktyki redakcyjnej, fałszującej i spłaszczającej obraz życia literackiego, pączącej pióra krytyków, krzywdzącej autora i czytelników (58—59), na nie dobrą sytuację literatury w szkole, która wciąż jeszcze sięga do rymowanej publicystyki i ilustrowania historii (137, 139), a w pisanych przez krytyków artykułach na „zajęcia fakultatywne” nie znajduje ambitniejszej problematyki (46), na zacofanie estetyczne i humanistyczne zdziecinienie społeczeństwa, na nieprzeciwdziałanie temu stanowi, na zachwianie — w krytyce literackiej, w nauce o literaturze, w humanistyce — proporcji między tym, co socjalne, a tym, co psychiczne i kulturowe (45—46, 73, 171). Pisze retrospektywnie i czujnie o okupacyjnym usiłowaniu, które chciało „zepchnąć naród w stan niepełnowartościowości”, a zabrawszy wolność polityczną, dążyło także do odebrania suwerenności sztuce, myśli i wyobraźni narodu (175). Protestuje przeciw propozycjom odhistorycznienia szkolnych podręczników literatury, propozycjom grożącym odcięciem się od wielkich tradycji literackich i zubożeniem historyczno-kulturowej świadomości społeczeństwa (ten protest i tę motywację powtórzyło wielu uczestników dyskusji opublikowanej w 44 numerze „Literatury” z 1975 r.).

Postuluje potrzebę oczyszczenia i pogłębienia polskiego patriotyzmu, silniejszego przepojenia go wartościami etycznymi i oparcia na narodowych tradycjach (m. in. romantycznych), o których pamięć jest obowiązkiem (226—227); patriotyzmu zakładającego równość i sympatię wzajemną między narodami (208). Przeciwny mitologizującym i egzaltacyjnym kultom teraźniejszości (64), ostrzega przed bezmyślnym niszczeniem wartości niewątpliwych (14), a szanuje postawę historycznego sceptycyzmu, czujności nie dającej się nabrać na pozory, nieufności nawet, ironii wreszcie (54, 66, 215). Ponieważ mapa poezji nie pokrywa się z mapą administracyjną (135) ani z mapą polityczną, i ponieważ wierzy Kwiatkowski, iż trze-

ba dążyć do obracania rzeczy niemożliwych w możliwości (222): upomina się o udostępnienie w kraju twórczości pisarzy emigracyjnych (56), o monograficzną książkę o Wierzyńskim, całe lata nieobecny w krajowym życiu literackim poecie, bez którego nasza panorama historyczno-literacka jest nie do pomyślenia (55), o odlogiem dla polskiego czytelnika leżące całe dziedziny obcych literatur (174). Upomina się o udostępnienie w Polsce szkicu Bujnowskiego o poezji konkretnej (106), o nieobecnych w antologii Lama pisarzy dojrziałych (155), o pisarzy starszej generacji krzywdząco zaniedbywanych przez krytykę zbyt faworyzującą pisarstwo generacji najmłodszej (60, 189); o ściśle literackie czasopisma reprezentujące określone doktryny estetyczne (59—60), o mądrą, odważną i odkrywczą eseiistykę, której niedostatek jest wielkim nieszczęściem polskiego życia umysłowego (222). Broni praw „liberalizmu translatorsko-wydawniczego”. Cieszy się renesansem nie docenianej przez jakiś czas poezji Iwaskiewicza (26). Za nadal nie docenione uważa pisarstwo Stanisława Lema (122). Oczekuje porządnych książek analitycznych poświęconych Szymborskiej i Nowakowi (86). Przecistawiając się charakterystycznej dla naszej obyczajowości nieuwadze dla tego, co w kulturze jest nieefektywne, ale i — nieodzowne, upomina się o dostrzeganie pracy edytorskiej (173—174) i o sumiennosc bibliograficzną (202).

Impet doradczco-interwencyjny Kwiatkowskiego nie załamuje się właściwie nawet wobec samych pisarzy i ich twórczości. Kwiatkowski zastrzega się wprawdzie, że w poezji doradzanie jest trudne i grożące błędami, wręcz niemożliwe (43, 52, 221); napisze, że pouczać to można dzieci w szkole, a nie prawdziwego poetę, i że on sam zawsze obawiał się o los tych poetów, co chcieliby być pouczani (56). A przecież upomina się o wsparcie teoretyczno-programowe dla prób nowatorskich (69, 71), gdyż — jak twierdzi — „dokonujący ich poeci nie potrafią zwykle wyjaśnić, o co im idzie, narażając się na łatwe zarzuty — pomówienia o mętność i niezrozumiałość (...), na niedomyślenie własnych założeń twórczych” (106). Nie uzgodnił tego twierdzenia z inną własną opinią, że „wskazywanie” jest tą funkcją krytyki, którą trzeba traktować najostrożniej i najnieufniej (57), ale zgadza się to twierdzenie zarówno z życzliwym opisem postawy krytycznej Henryka Berezę jako postawy psychologa-opiekuna (115). Zgadza się też z podszitym radą westchnieniem, by Prokop wytrwał przy poezji (47), i z będącym jednym z wielu ech bachelardyzmu w myśli krytycznoliterackiej Kwiatkowskiego przypuszczeniem, że byłoby zapewne ze szkodą dla poezji Lipskiej, gdyby ta poetka przestała się wypowiadać w „języku domu” (43).

Kwiatkowski — historyk literatury — dobrze wie, że poezja dawna rozwija się — przez nabieranie nowych znaczeń i oddziaływanie na kolejne pokolenia — w wiecznym (wcale nie klasycystycznym, skoro poddanym zmienności) „teraz” sztuki (27), ale dopuszcza myśl, że być może poetyki przeżyte są z góry skazane na drugorzędność (221;

czy myśl ta nie jest podszyta definicyjnym błędnym kołem?), a nawet: że uległość wobec niemożliwych konwencji wyrządza szkodę poezji (133). Mniej już elegancko nazywa to swą nieufnością do dań odgrzewanych (10). Kwiatkowski odcina się od (jak mówi) różnych czcigodnych, XIX-wiecznych nauczycieli (złego gustu (106), ale przeciwieź „egzaltowane gigantofony” (w ich mniemaniu!) z tych samych powodów („anachroniczność”) napadają na „poetów złotego środka”. Pastiszowość, która jeszcze w 1969 r. budziła sympatię Kwiatkowskiego, w roku 1972 zaczyna go już — jako program — razić i niepokoić. Dezorientujące uroki stylizacji (60), sięganie po klasycystyczną czy barokową konwencję przez dzisiejszych poetów Kwiatkowski traktuje teraz jako niepodjęcie przez tych poetów elementarnego obowiązku swojego czasu (23—24, 26). Na tle manierey klasycyzującej za moment zajmujący uzna emocjonalność typu modlitewnego i upór bezpośredniości, nawet jeśli tę bezpośredniość uzna za zbyt łatwą i stylizowaną — widzi w tych znamionach ocalenie przed pastiszową wtórnością. Poecie, który — broniąc się przed pastiszem — chroni się we wzruszeniową naiwność, radzi jednak „równikowe” miejsce pomiędzy tymi biegunami (24).

To prawda, że ciężar tradycji niekiedy przygniata co węższe indywidualności poetyckie, ale i wyniki odtrącania tego ciężaru bywają (i to na różne sposoby) żałosne, na co wiele przykładów dała najmłodsza fala poetycka. Kwiatkowski dostrzega rojność aluzji literackich, mitologicznych, filozoficznych (od Platona do Jerzego Niemojowskiego) u Zadury, przepojenie aluzjami historycznymi i literackimi tematu pejzażowego u Ostromeckiego, ceni ambicje kulturowe i intelektualne w poezji. I pada (obiektywnie dwuznaczna) uwaga, że w takiej poezji „każdy może coś dla siebie znaleźć” (25). Taka uwaga jest ni to zachętą do lektury, ni to ostrzeżeniem przed eklektyzmem. A może być naraz jednym i drugim. Pada też zatraskane ostrzeżenie, by w tym współżyciu wyobraźni z intelektem wyobraźnia nie przegrywała zanadto (26). Literatura bowiem jest sztuką i „skromny intelektualnie poeta, piszący w pewien szczególny sposób o zajawkach, może być wybitniejszym pisarzem niż zabłąkany w literaturze filozof” (222).

Nie godzi się jednak uniknąć polemiki wtedy, kiedy omawia się książkę zwolennika polemiki. Trzeba ją podjąć, chociażby w zakończeniu własnego omówienia. Tematem i przedmiotem jej użycie nie tyle określony felieton, ile pewien luźny zbiór kwestii dotyczących związku między charakterem polskiej literatury a przebiegiem naszej historii politycznej oraz związku naszej literatury z myślą romantyczną. Obie te relacje ujmuję Kwiatkowski formułką „Polak a poezja” (94) i pisze o pomieszaniu poezji z polityką. Wywód Kwiatkowskiego nie jest jasny. Wydawałoby się, że jeśli np. w latach powojennych nastąpiło szczególnie silne pomieszczenie poezji z polityką, to znaczy to między innymi, iż poezja w ten szczególny sposób *przeniknęła* w społeczeństwo. Tymczasem czytamy, że właś-

nie owo społeczeństwo *nie rozumiało* poetów (tzn. ich poezji). Więc zapewne to inny czynnik, a nie poezja, pomieszał się wtedy z polityką. Trzeba też zastrzec, że w naszej historii politycy „poetyzowali” czasem politykę w sposób, który (wbrew słowom Kwiatkowskiego) nie był ani ewidentny, ani piękny, ani naiwny.

Z felietonowych wywodów Kwiatkowskiego zdaje się wynikać po trosze, że to obywatelskość literatury ponosi częściową winę za literackość politycznej historii Polski, że więc duch społeczeństwa zatrauwany był przez „książki zbójeckie”, od których wyłamywała się „osada skrzydeł” narodu. Ta patetyzacja funkcji literatury jest w niezgodzie z inną opinią Kwiatkowskiego, tą, która przestrzega, że nie ma co przeceniać wpływu wychowawczego literatury, gdyż Polacy („ludzie w Polsce”) nie są tak znów naiwni (84). Krytyk traktuje przy tym poezję nie jako pewien czynnik dynamiczny, zdolny do oddziaływania, lecz jakby przedmiotowo, jako coś o stałej objętości: jeśli to coś wypełni się polityką, to już w nim zabraknie miejsca dla walorów estetycznych.

Ton i sens artykułu *Polak a poezja* pozwalają sądzić, że zdaniem Kwiatkowskiego powstania narodowe były estetycznymi absurdami wywarzonymi w kuźni głupstwa, a tylko przez sponiewierane społeczeństwo mitologizacyjnie podnoszonymi do rangi narodowych świętości (97). Jest tak, jakby Kwiatkowski był wrażliwy na patriotyzm estetycznoliteracki (zob. uwagi o *Garbatym Ikarze* Raszki), a zapominał, że — przepraszam za patos (55) — miłość Ojczyzny wyraża się nie tylko w literackich formułach. I — nie tylko w inicjatywach o zagwarantowanym z góry wyniku. To, co z czasowego dystansu odsłania się jako absurd, jako „bohaterska niefortunność” (97), a przy tym jako mały dla „Historii” (mały w swej konkretności i poszczególności) przypadek, *wtedy* jednak było ogromną w subiektywnym przeżyciu decyzją, skrzyżowaniem rozpaczliwego położenia z dylematami indywidualnej postawy, nie bez udziału nieprzewidzianych okoliczności (97, 126). Narody szczęśliwe traktują politykę trzeźwo i przenikliwie (98), lecz związek szczęścia i trzeźwości jest obustronny, a my nie byliśmy narodem historycznie szczęśliwym.

Kwiatkowski, narzekający na nieczęstość odróżniania postawy estetycznej od etycznej (134), sam tym razem nie odróżnia egzaltacji etycznej, „idealizmu” etycznego „bezsensownych” działań powstańczych od — egzaltacji estetycznej. I zapominał o tym, że sam uznaje istnienie momentu mitycznego w każdym *ideale* obecnym w świadomości narodowej (210). Słusznie uznał za bezsensowne i okrutnie niesprawiedliwe pomysły szukania usprawiedliwień dla bycia raczej Polakiem niż kimkolwiek innym (207—208). Sam stwierdza, że historia narodowa jest dla społeczeństwa gruntem integrującym zakorzenienia kulturowe i moralne, naturalną gwarancją samopotwierdzenia i samorozpoznania. Otóż tak jak istnieje ta naturalna powinność przyjęcia własnej polskości, tak (i przecież — dlatego) istnieje także naturalna powinność odnalezienia się w narodowej wspól-

nocie cierpienia (201). Także dawnego cierpienia. Powinność ocalająca moralnie, a nie poniżająca. Powtarzam: odnoszę wrażenie, że opinia o Polakach jako o dziedzicach „jednej z najbardziej poetyckich historii politycznych” (94) ma jednak charakter zbyt estetyczny i zbyt literacki. Swoje widzenie historii Kwiatkowski wyraźnie zawdzięcza bardziej literaturze (i romantycznej, i — uniwersalistycznej) niż naukom historycznym. I bardziej (może) niż etyce. Wtedy, kiedy Polaków „historia przygniotła tragedią (...) istnienia” (a raczej nieistnienia) państwowego, toczyło się i trwało — w takiej właśnie postaci! — *życie*, a nie upoetyzowany spektakl. Natomiast wszelkie układanie spektaklu („dramat układasz”) nie znosiło bynajmniej i nie zmieniało rzeczywistej tragedii. Tylko wynikającym z przeestetyzowania (chwilowego, na użytek jednego felietonu, 181) zanikiem wrażliwości etycznej można wytłumaczyć mówienie o zatajaniu udziału w powstaniu (wobec odwetowego *terroru* carskich władz okupacyjnych) jako o ... substytucji poezji hermetycznej. Dowcip tkwiący w takim postawieniu sprawy ma posmak wręcz cyniczny. „Poezję liryczną *zastępowały* (...) wspomnienia powstania, beznadziejnych walk, zsyłek na Sybir (...)” (97) — pisze Kwiatkowski. Pisze niby cyborg z powieści Lema, „w jakiś perwersyjny sposób” (97), ale też z (chwilową) naiwnością. Bo społeczeństwo nie same przeżycia estetyczne (94) czerpie z własnej historii politycznej.

W felietonie polemizującym z artykułem Kamieńskiej chodzi Kwiatkowskiemu o niebezpieczeństwo i szkodliwość wartościujących przeciwstawień prawdy i piękna (177). W polskiej historii literatury nie podoba mu się przedkładanie *dobra* narodowego nad *piękno* literackie (97), ale bez zgorszenia i niechęci pisze o twórczości poetów złotego środka, iż w niej piękno literackie jest (jak zapewnia) *ubocznym* produktem szukania dobra i prawdy. Mamy tu (110) do czynienia z nieznacznie tylko parafrazującym powtórzeniem przekonania Mickiewicza: „W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę”, ale o Mickiewiczu Kwiatkowski powie bez aprobaty, że „wyparł się poezji” i że zaczął patronować postawie aliterackiej, chociaż było to — ileż radykalniejsze! — „postawienie znaku równości między wagą tego, co się słowem wyznaje, a wagą własnego życia” (94, 97).

Kwiatkowski bez zastrzeżeń powtarza stary komunał stwierdzający, że wielka literatura romantyczna została przez swój *związek* z losem zniewolonego narodu skazana na partykularyzm (= nieuniwersalność), a więc na nieprzetłumaczalność, izolację i obcość kulturową (96). Czyżby więc i do poezji wielkich romantyków miało się odnosić określenie „poezja jako działalność zastępcza” (102)? Czyżby nie napisał Kwiatkowski, że to romantyzm ze wszystkich prądów kulturowych w Polsce uległ najwyższej uniwersalizacji, że polska poezja romantyczna stała się — dzięki swej zuchwałości metafizycznej i historycznej — szczytową epoką naszej literatury (121)? I nie wbrew temu, ale *zarazem*, w kulturze polskiej „romantyczne” są

okresy spotęgowanej samowiedzy społecznej i narodowej (121). W dodatku Kwiatkowski twierdzi, że te zjawiska i czynniki, które skazały wielką poezję romantyczną na *partykularyzm* nieprzetłumaczalności (96), były pozapartykularne, gdyż „związane z *ogólnoeuropejską* atmosferą epoki” (97). I bądź z tego mądry. Jeśli obowiązkiem poezji jest wypowiedanie aktualnych treści i sytuacji świata ludzkiego (106), to o co właściwie krytykowany krytyk obwinia literaturę romantyczną w Polsce?

Poeta może nie pisać wierszy na zadany temat, nawet jeśli temat zadaje historia (175). Ale sam sobie temat historyczny zadać — też może: może go podjąć. Wtedy, kiedy się *rzeczywistość dziejowa* zespoli ściśle z wyobraźnią poety (177). Naród ironiczny umie rozpoznać prawdę, zachowując o tym milczenie (77), ale naród duchowo wolny umie też prawdzie tej dać wyraz, wygłos. Zwłaszcza w literaturze. Zwłaszcza w pewnych epokach (222) — i to z myślą o nich pisze sam Kwiatkowski o kształtowaniu odpowiednich postaw społeczno-politycznych jako o zadaniu literatury. Sam Kwiatkowski przyznaje, że polska poezja romantyczna jako całość jest zjawiskiem nieporównanie pod każdym względem wybitniejszym niż poezja współczesna i że żywotność tradycji romantycznych w Polsce jest szczególnie silna (139). Siłę *romantycznego* pojęcia poezji odkrył w przedśmiertnym wierszu Szymona Konarskiego (227); wpływ *Romantyka* dostrzegł w Iwaszkiewiczowskim zwrocie ku poezji obywatelskiej, a w *Romantyku* nieprzedawniony narodowo-kulturowy problem-wartość, z którym twórczość Iwaszkiewicza toczy namiętny dialog (204); piętno *romantyczne* wskazał w podejmowaniu przez poezję, w *Inskrypcjach* Ostromeckiego, obowiązku pamiętania bolesnych spraw narodowego losu i w odwoływaniu się przez tego poe­te­go do jednej z najpiękniejszych tradycji polskiego patriotyzmu (niepodległościowego, ale i nieagresywnego; pełnego godności, ale i braterskiego wobec innych narodów; ofiarnego, ale nie lekkomyślnego; bezkompromisowego, ale etycznie krystalicznego), tradycji tak ważnej w okresie nienowych niedowładów i dewiacji poczucia narodowego (225).

Krytyk o szerokich horyzontach (a nie tylko o szerokiej wrażliwości estetycznej) nie dopuści do tego, by w jego świadomości i kompetencji pozostały — jako estetycznie dysfunkcyjne — „wartości wywiedzione z innych dziedzin ducha” (12). Suwerenność (więcej: władza) krytyka polegać będzie na umiejętności odniesienia tych wartości do poetyckiej skali aksjologicznej. I Kwiatkowski bywa takim krytykiem.

Stanisław Dąbrowski